

BLASKI I CIENIE UPRAWIANIA ARTYSTYCZNEGO ZAWODU

Krystyna Szydłowska

śpiewaczka i aktorka, Teatr Muzyczny w Lublinie

To, że jestem artystką i występuję na scenie, jest dla mnie największym błogosławieństwem. Radością, która nadaje sens mojemu życiu. W związku z czym nie wyobrażam sobie innej roli. Moment, kiedy wychodzę na scenę i zaczynam śpiewać, jest rodzajem mistycznego natchnienia, tego naprawdę nie sposób opisać słowami. Oczywiście zawsze mam tremę, niezależnie do tego, dla jak licznej publiczności występuję. Zawsze muszę być perfekcyjnie przygotowana i otwarta dla publiczności, wkładając w mój występ całe serce. Nigdy nie mam dosyć. Koncert to jest coś, co mnie uskrzydla i przybliża do nieba. Nigdy w życiu nie powiedziałabym, że mi się nie chce śpiewać. Choćbym miała się czołgać na scenę, to zaśpiewam, nawet dla jednego słuchacza. Pamiętam występ mojej koleżanki, która pod koniec koncertu, uśmiechając się szeroko do widzów, szeptała pod nosem: O Boże, jak to dobrze, że już koniec! To po co wykonuje taki zawód? Artysta nie istnieje bez publiczności. Mam nadzieję, że Stwórca pozwoli mi śpiewać przez długie lata i wytrwać w tym zawodzie w zdrowiu fizycznym i w pełni sił umysłowych. Ja nie mogę powiedzieć, że nie wystąpię, bo mnie coś boli. Nawet jeśli boli, to odpowiedzialność przed publicznością jest najistotniejsza. Mówiąc szczerze, nie dostrzegam ciemnych stron mojej profesji. Może jedyny mankament jest taki, że w dzisiejszych czasach nie ma kto akompaniować, bo wówczas cena rośnie i zaczyna się gadka: ooo, a czemu tak drogo? Ale i tu jest wyjście – po prostu śpiewam a capella (oczywiście, nie zawsze). W moim przypadku zawód artysty jest najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła i nikogo z mojej rodziny nie odżegnywałabym od wyboru podobnej drogi. Zresztą moja córka też śpiewa. Bo to coś więcej niż praca. Nigdy nie mówię, że idę do pracy, tylko idę do teatru. I wracam do domu szczęśliwa.



foto: archiwum rodzinne

Mirosław Kowalik

basista zespołu Raz, Dwa, Trzy



foto: Jęrgo Dabwo

Sztuka... Poprzez nią poszukujemy wyższych wartości. Oczekujemy przeżyć mistycznych, utożsamiając się z elementami, które na nas oddziałują. Bez niej nie byłoby poezji i filozofii (myśli wizjonerskich). A co za tym idzie... "postępu". Kreatywność działań przybiera różne formy, w których realizują się ludzkie marzenia. Realizacja jednych służy rozwojowi ludzkości, a inne wyzwalają totalną dezintegrację. Twórczość, niezależnie od intencji, jest formą działania ogólnie dostępną, ale jej interpretacja znajduje często upust niezależny od woli autora pomysłu. Twórca... Wydawałoby się... ktoś zupełnie niezależny... Jednak na samym początku można zadać pytanie, czy jego samodzielność nie kończy się już na etapie odbiorcy. Być może najwyższą z form jest samo tworzenie, w którym autor sam zamyka się w innym świecie i niezależnie od ludzi, z potrzeby samego tworzenia zapisuje obrazy z tego innego świata. Myślę, że każdy człowiek jest twórcą, doskonałym wartości istnienia poprzez różne formy komunikacji ze światem. Otwarcie się przed światem ze swoją twórczością jest pewnym rodzajem ekshibicjonizmu, dzięki któremu przenosimy wartości zawarte w twórczości w różne miejsca ich eksploatacji. W każdych ludzkich działaniach zobaczymy blaski i cienie ich realizacji. Życie artysty narzuca pewną formę, polegającą na budowaniu pozorów niezależności, co daje nam poczucie większej swobody odkrywającej efekty naszych działań, ale te mogą być różne od naszych oczekiwań. Z jednej strony możemy się poczuć wyjątkowi, a z drugiej życie uczy nas pokory. Nasza samodzielność polega na tym, że sami możemy dokonać wyboru. Należy jednak pamiętać, że to, co dla jednych jest blaskiem, dla innych może być cieniem i odwrotnie.

Małgorzata Lewińska

aktorka teatralna i telewizyjna

Aktorstwo to bardzo ciężka profesja. Z jednej strony kojarzone jest z wolnym zawodem, z drugiej zaś z tą wolnością, szczególnie dzisiaj, ma niewiele wspólnego. Jako aktorzy jesteśmy zależni od wielu ludzi – reżyserów, producentów, a przede wszystkim widzów. Od ich gustów i upodobań. Od mód na określone role i postaci. Wreszcie od kaprysów wlnego rynku.

Niestety, dzisiaj często o tym, czy ktoś gra czy nie, nie decyduje jego talent. Czasami się to pokrywa, ale nie zawsze. To zawód, który wymaga ogromnej odporności psychicznej. Już na studiach w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w ostrzegano nas, że w tym zawodzie trzeba mieć duszę motyla i skórę słonia. Kiedy przyjaciele mojej mamy, wybitni aktorzy, dowiedzieli się, że wybieram się na studia aktorskie, orzekli, że nawet palca nie przyłożą do tego. Że jestem za wrażliwa i nie udźwignę aktorstwa emocjonalnie. Bycie aktorem to nieustanna walka z samym sobą – pogodzenie własnej wrażliwości i odporności z okrucieństwem, wpisanym w popularność, z którym musimy się mierzyć na co dzień.

I nie mam tu na myśli krytyki, bo ta zazwyczaj bywa konstruktywna. Myślę o internecie, gdzie każdy anonimowo może bezkarnie niszczyć człowieka i o równie bezkarnych i prymitywnych tabloidach, które w pogoni za sensacją uciekają się do haniebnych chwytów. To jest ta ciemna strona bycia aktorem i trzeba nauczyć się z tym żyć. Oczywiście nie

wyobrażam sobie siebie w innej roli niż aktorka. Po sukcesie serialu „Sąsiedzi”, w którym grałam kilka lat, nastąpił w moim życiu zawodowym moment lekkiego zastoju. Ale chyba tak miało być, bo wkrótce zostałam mamą bliźniaków i już nie mogłam na sto procent poświęcić się aktorstwu. W międzyczasie pojawiło się kilka ciekawych projektów, w których biorę udział, m.in. gram w przedstawieniach impresaryjnych, z którymi jeździmy po kraju, nagrywam audiobooki, prowadzę blog „Małgosia Lewińska do kwadratu”, w którym opisuję codzienność mamy bliźniaków. To, że jestem aktorką, pozwala mi spełniać się w innych obszarach i uznaję to za mój sukces. Myślę jednak, że największym sukcesem jest bycie dobrym człowiekiem i staram się do tego dążyć.



foto: materiały prasowe

Anna Faber

harfistka, koncertująca z zespołem Blue Harp



foto: archiwum prywatne

Dla mnie bycie artystą oznacza rozwijanie talentu, który dostałam „z góry”. Kiedyś, po skończeniu studiów muzycznych w klasie harfy, miałam wielką tremę przed publicznymi występami. Dzięki temu zaczęłam jeździć na warsztaty, rozwijać się, uczyłam się obchodzenia z nieprzyjemnymi emocjami i kiedy zwyciężyłam, bycie artystką stało się czystą przyjemnością. Kiedy wchodzę na scenę, nagle znajduję się w innym świecie, kreuję dźwięki, odczucia moje i publiczności. To jest piękne. Obcowanie z tym światem traktuję jako przywilej. Mogę przekazywać moje emocje za pomocą dźwięku i pozostać w sercach słuchających mnie ludzi na chwilę albo na długo. Pamiętam, jak napisałam pierwszą kompozycję. Uważałam, że nie potrafię, ale bardzo chciałam stworzyć piękną melodię. Męczyłam się przez 5 dni, aż nagle spłynęło na mnie: drobny zaledwie motyw melodyczny, z którego powstał utwór. Gram go do dziś na koncertach. Potem spływały inne. Niektóre naprawdę dobre. Czułam się dumna i sama cieszyłam się nimi. A po koncercie dostawałam bukiety kwiatów, pochwały, komplementy i podziw. Naprawdę można się dobrze wtedy poczuć. A też świadomość, że w oczach publiczności jestem niezwykłą kobietą, która gra na pięknym instrumencie i to jakim twarzowym! Że to mnie wyróżnia i mogę sobie z tego brać dobre strony. A także granie na dużych scenach, owacje na stojąco jak ostatnio w nowej sali NOSPR-u. To plusy bycia artystą. Ale są też plusy ujemne. Adrenalina trasy koncertowej, a potem powrót do normalności, na którą trzeba umieć się przestawić. Przestoje, które trzeba umieć przeczekać robiąc inne rzeczy, będące w cieniu w czasie natłoku koncertowego. Niepewność jutra, jeśli się jest wolnym ptakiem, jak ja. I wtedy, jeśli się ma szczęście jak ja, można doświadczyć nowej przygody: Pewnego dnia zapukała do drzwi mojego muzycznego domu - Ajurweda. Medycyna pochodząca z Indii, sprzed 5 tys. lat. Pojechałam nagle na panczakarmę - oczyszczanie organizmu. Rzuciłam tam palenie, zmieniłam dietę, oczyściłam przeszłość z komórek mojego ciała oraz z umysłu. Zapragnęłam studiować tę niezwykłą wiedzę. Teraz łączę te dwa zawody - muzyka i konsultanta Ajurwedy. Jestem absolutnie szczęśliwą osobą, a bycie artystką pomogło mi w rozwoju moich ukrytych talentów.

Ewa Graniak-Wosinek

Dom Mokoszy – Pracownia Sztuk Różnych, Branica Radzyńska

Bycie artystą to wyjątkowy dar od losu, to nieprzeciętna możliwość poznawania świata w inny sposób niż mają możliwość to robić ludzie, którzy nie posiadają wrażliwości artystycznej. Ten zawód daje mi satysfakcję, szczególnie w momentach, gdy to, co robię, ma oddźwięk wśród odbiorców, gdy moja sztuka rozpoczyna np. jakąś dyskusję, czy po prostu wywołuje uśmiech na twarzy lub wzruszenie. Artysta stoi przed ciągłym wyborem – albo idę do etatowej pracy, albo rob ię to, co kocham i czuję. To jest ta wolność, która czasem kosztuje. Artysta to generalnie człowiek wolny, ale jednocześnie zniewolony przez swoją wrażliwość, która nie pozwala mu obojętnie przejść obok problemów tego świata. Z drugiej strony artysta ma, moim zdaniem, prawo i przede wszystkim możliwość wypowiedzieć się na jakiś temat, który może być tematem kontrowersyjnym w sposób czasami zawołowany, lekko przymglony, ale zarazem dosadnie zwracający uwagę na dany temat. Wolność artysty polega na tym, że maluje, rzeźbi, fotografuje, to co chce. Jednak świat nie zawsze mu na to pozwala, bo na przykład dany temat się nie sprzedaje – i tu artysta zaczyna mieć związane ręce, bo żeby przeżyć, musi tworzyć to, co da mu chleb. Na szczęście przeważnie tworzę to, co współgra z moimi odczuciami. Niestety, w naszym kraju ludzie nie rozumieją tego, że moje prace to efekt wielu lat nauki, pracy nad sobą, ale także inwestycje finansowe. Wykorzystywanie zdjęć czy pomysłów i projektów jest nagminne i mało kto zwraca uwagę na to, że po prostu jest to kradzież. Mam to szczęście, że żyję z dala od wielkomiejskiego zgiełku. Przeniosłam się z Wybrzeża na Podlasie, by tu realizować swoje artystyczne wizje. Na wsi czuję się świetnie. Wieś, przyroda dostarcza mi inspiracji, daje też poczucie wolności i jedności z naturą, spokój ducha, co dla mnie jest bardzo ważne.



foto: archiwum prywatne

Maciej Falkiewicz

malarz, właściciel galerii w Janowie Podlaskim



foto: materiały prasowe

Bardzo się cieszę, że mam taki zawód, pomijając zawody miłosne (śmiech), jestem bardzo zadowolony, wręcz szczęśliwy. Dzięki temu, co wybrałem, miałem okazję spotkać w życiu wspaniałych ludzi, chociażby moich mistrzów podczas studiów na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych - uczyli nie tylko warsztatu malarskiego, ale przede wszystkim byli wzorem cnót – patriotyzmu, uczciwości, szacunku do przeszłości. Wspomnę chociażby profesora Ludwika Maciagą czy prof. Michała Bylinę. Tęsknię też za przyjaciółnią z Anną Dębską, już nieżyjącą wielką rzeźbiarką, której talent onieśmielał. Gdybym miał się na nowo urodzić, na pewno wybrałbym ten sam zawód, tym bardziej, że maluję to, co chcę, co mnie porusza i co przeżywam. Nie tworzę pod publiczność, bo uważam, że jaki obraz, taki odbiorca. Oczywiście płacę wysoką cenę za tę wolność, bo państwo nie interesuje się losem artystów. Kiedy artysta robi wystawę w jakiej instytucji kultury, to tak naprawdę robi prezent tej instytucji – musi na własny koszt oprawić obrazy, wydrukować folder itp. Rzadko widuje się na wystawach urzędników, odpowiedzialnych za kulturę. W szkole też nie ma zainteresowania sztuką – nie organizuje się spotkań z artystami, tylko nieliczni nauczyciele prowadzą uczniów na wystawy – nikt nie jest tym zainteresowany. A ja widzę, jak młodzież, która czasami przychodzi do mojej galerii, jest ciekawa mojej pracy. To bardzo smutne, ale taka jest rzeczywistość.